

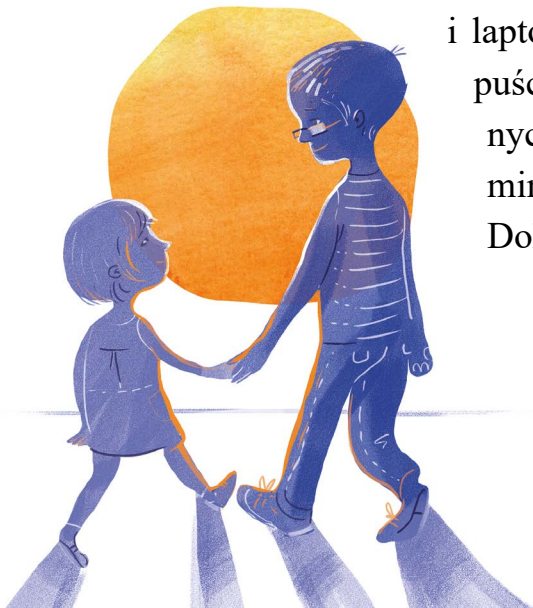
zrozumiał i złapał się za głowę. W tym całym zamieszaniu nikt nie wytłumaczył Jurkowi, na czym polega pobranie krwi. Twój tata był przekonany, że aby uratować siostrzyczkę, musi oddać CAŁĄ swoją krew, do ostatniej kropelki. Myślał, że on umrze, ale za to ja będę żyła. Cóż, dorośli wiedzieli, że to niemożliwe, ale dla małego, wystraszonego chłopca wcale nie było to takie oczywiste. Ten lekarz powiedział wtedy, że nigdy nie spotkał tak dzielnego i odważnego dziecka. – Ciocia Mila uśmiechnęła się i naciągnęła rękaw swetra, chowając bliznę. – No i miał rację. Uwierz mi, że jeszcze wiele razy miałam okazję się o tym przekonać.

Ciocia zamilkła, jakby chciała dać Tomkowi czas do namysłu.

W końcu wstała, zabrała talerze z zimną zupą i wyniosła je do kuchni.

Kiedy Tomek został sam, przyszło mu do głowy, że człowiek odważny wcale nie musi być wielki, uzbrojony i zwisać na linie.

Może nosić okulary w drucianych oprawkach i laptop w czarnej teczce. Może też odpuścić złodziejowi kilka słoików kiszonych ogórków i zamiast robić groźne miny, uśmiechać się od ucha do ucha. Dokładnie tak jak jego tata.



ZAWSZE BĘDĘ PRZY TOBIE

– Szybciej, bo się spóźnisz!

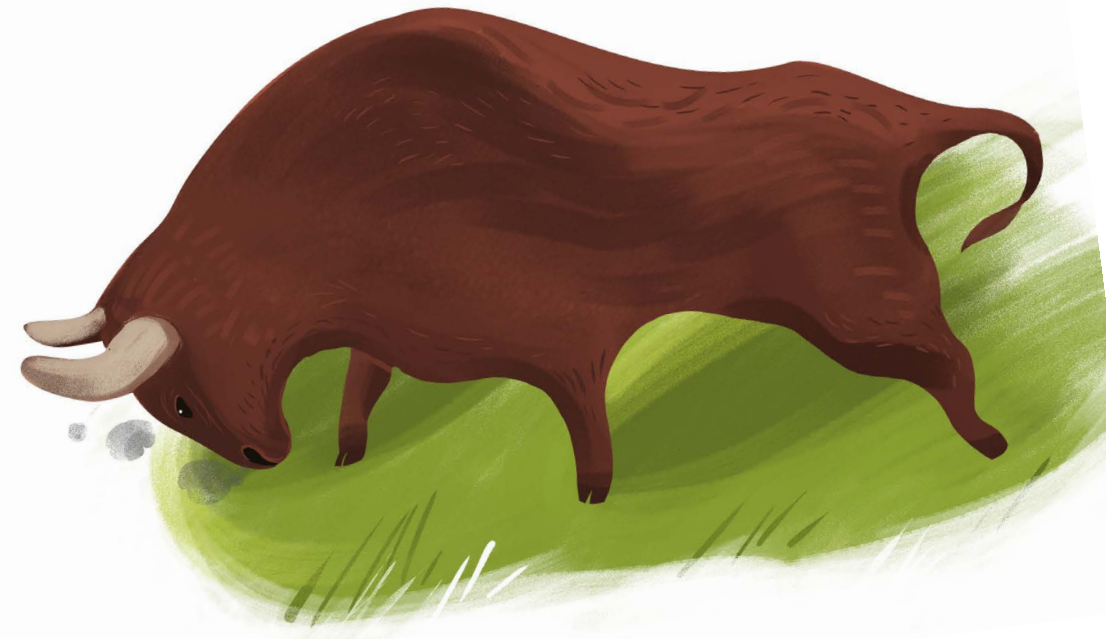
Mama wrzuciła Armenowi do plecaka drugie śniadanie i dopilnowała, by porządnie owinął szyję szalikiem.

Potem odprowadziła go do drzwi i przez chwilę patrzyła, jak malec w podskokach biegnie przez podwórko. W tym czasie jej mąż Grigor odśnieżał schody i chodnik przed domem. Na widok żony uśmiechnął się, a za synkiem posłał ulepioną naprędce śniegową kulkę. Chłopczyk uchylił się z piskiem i chichocząc, popędził do szkoły.

Antosia nie miała pojęcia, że od dłuższej chwili ktoś ją obserwuje. Ktoś, komu jej czerwona, śmigająca i podskakująca wśród traw kurtka mocno działała na nerwy. Na wzniesieniu za jej plecami stał wielki jak skała byk Bzik. Imię mówi samo za siebie. To było pastwisko Bzika. Byk ważył ponad osiemset kilogramów i cieszył się złą sławą. Wszyscy uważali, że jest narwany i groźny. Teraz po jego terenie poruszała się szybko jakaś czerwona plama i siała zamęt w wielkiej, kudłatej głowie. Instynkt podpowiadał mu, że cokolwiek to jest, trzeba to nabić na rogi i wetrzeć kopytami w ziemię. Pochylił więc głowę, parsknął dwa razy, pogrzebał kopytem i ruszył ociężale przed siebie.

W tym czasie dziewczynka, nieświadoma niebezpieczeństwa, biegała to tu, to tam, szukając kwiatków. Bzik pochylił łeb jeszcze niżej i przyspieszył, gotów zaatakować wszystko, co się rusza.

Tętent jego kopyt zwrócił uwagę ojca Antosi. Zerknął przez ramię na pastwisko i zobaczył szarżującego byka. Zaraz potem – swoją córkę. Nie miał chwili do stracenia. Puścił się pędem



w kierunku łąki. Gnał na złamanie karku, nawet nie wiedział, że potrafi tak szybko biegać! Przesadził ogrodzenie jednym sussem i dotarł do Antosi na kilka sekund przed bykiem. Zerwał z niej czerwoną kurtkę, która na szczęście nie była zapięta na suwak, i cisnął ją jak najdalej za siebie. Jednocześnie popchnął córeczkę na ziemię i przykrył ją swoim ciałem.

W tej samej chwili pojawił się Bzik. Zahamował gwałtownie i stanął niezdecydowany. Miał przed sobą człowieka, który leżał nieruchomo w wysokiej trawie, osłaniał głowę rękami i nawet nie patrzył w oczy bykowi, żeby go nie prowokować. Kawałek dalej zobaczył czerwoną, połyskującą w słońcu kurtkę. Podmuch wiatru sprawił, że kaptur uniósł się trochę do góry, poruszyły się też i zaszeleściły rękawy. To wystarczyło. Byk doskoczył do kurtki i wziął ją na rogi. Wywijał łbem i parskał. Czerwony materiał łopotał mu nad głową. Rozjuszony byk



w szpitalu w Islamabadzie. W odpowiedzi na ciągłe pytania: „Kiedy wyzdrowieje?” – lekarze bezradnie rozkładali ręce i odwracali wzrok. Siedział przy łóżku Salmy i trzymał ją za rękę. Nic więcej nie mógł zrobić.

Kiedy odeszła, został sam z małą Jasmin, która nocami płakała z tęsknoty za mamą. Adil pocieszał ją, jak umiał najlepiej, przytulał i ocierał łzy. Z czasem córeczka pogodziła się z losem i stwierdziła, że: „Tata jest jak mama. Tyle że węższa”. I to był najpiękniejszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszał.



Adil wstał i w małym czajniczku zaparzył herbatę z kardamonem. Dodał cukru i gorącego mleka, a po kuchni rozszedł się dobrze mu znany, korzenny aromat. Przymknął oczy i pił małymi łyżkami. Ten zapach i smak to namiastka rodzinnego domu. W takich chwilach jak ta tęsknił za nim.

– Ech – machnął ręką – było, minęło. Teraz nasz dom jest tutaj.

Nie żałował, że po śmierci żony postawił wszystko na jedną kartę i opuścił z córką Pakistan. Panowały tam chaos, strach i bieda. W atakach terrorystycznych ginęli ludzie, wylatywały w powietrze domy, wojna była tylko kwestią czasu. W Pakistanie nie było dla Jasmin żadnej przyszłości. A w Londynie jest bezpieczna, może się uczyć. Zdała maturę, idzie na studia i chce być lekarzem. Był z niej taki dumny.

– Na mnie już czas – spojrzał na zegar i poderwał się na równe nogi. – Robota czeka.

Adil od trzynastu lat pracował na londyńskich ulicach. Był śmieciarzem. Już w samym tym słowie jest coś niepochlebnego, jakby wydzielalo niemilą woń. Może lepiej brzmiałoby sprzątacznik albo ładowacz? Tak czy inaczej, Adil nosił jaskrawopomarańczowy kombinezon i grube rękawice i dzień w dzień taszczył kubły i kontenery wypełnione odpadkami. Każdego dnia przerzucał kilkanaście ton śmieci. Pracę rozpoczynał o czwartej rano. Znosił wiatr, deszcz i mróz. Zimą, kiedy temperatura spadała, worki często pękały i wszystko się z nich wysypywało. Latem odpadki szybko się psuły i okropnie cuchnęły. Po całym

